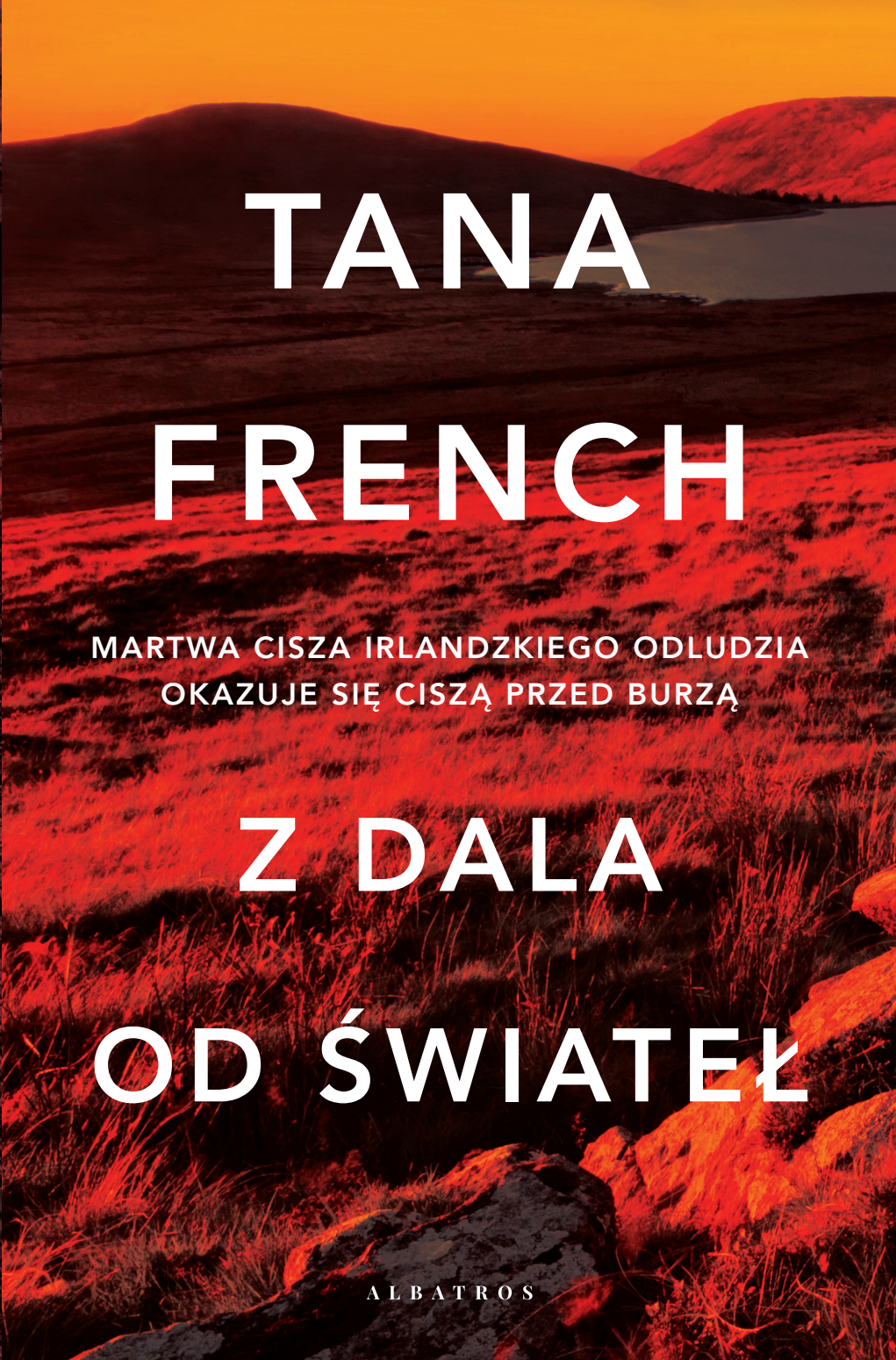




TANA FRENCH

MARTWA CISZA IRLANDZKIEGO ODLUDZIA
OKAZUJE SIĘ CISZĄ PRZED BURZĄ

Z DAŁA
OD ŚWIATEŁ

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE SEARCHER

Copyright © Tana French 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2021

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcie na okładce: Steven Hylands/Pexels.com

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Wychodząc z domu, Cal widzi, że gawrony coś złapały. Z tyłu, w mokrej wysokiej trawie i zielsku o żółtych kwiatach, zebrała się gromadka sześciu ptaków, które podskakują i atakują dziobami zdobycz. Coś małego, co jeszcze się rusza.

Cal stawia na ziemi worek pełen strzępów zdartych tapet. Zastanawia się, czy nie pójść po nóż myśliwski i nie skrócić cierpienia stworzeniu, ale gawrony mieszkają tu znacznie dłużej od niego. Próba mieszania się w ich sprawy byłaby z jego strony impertynencją. Dlatego spokojnie przysiada na omszałym stopniu schodków obok worka na śmieci.

Lubi gawrony. Czytał gdzieś, że są cholernie inteligentne; potrafią poznać człowieka, a nawet przynosić mu prezenty. Od trzech miesięcy stara się wkupić w ich łaski resztkami jedzenia, które zostawia na dużym pniaku bliżej końca ogrodu. Przyglądają się z obrośniętego bluszczem dębu, gdzie urządziły sobie kolonię, jak bnie tam i z powrotem przez trawę, i gdy tylko znajdzie się w bezpiecznej odległości, sfruwają, żeby klócić się nad jedzeniem i wymieniać głośne uwagi. Popatrują jednak cynicznie na Cala, a kiedy próbuje podejść bliżej, natychmiast uciekają z powrotem na dąb i szydzą z niego, zrzucając mu na głowę gałązki. Wczoraj po

południu, gdy zrywał w salonie zapleśniałą tapetę, na parapecie otwartego okna usiadł nieduży gawron z lśniącymi piórami, wrzasnął coś, co na pewno było obelgą, po czym machnął skrzydłami i odleciał, śmiejąc się skrzekliwie.

Ofiara na trawniku miota się, trzęsąc wysokimi żdźbłami. Duży ojciec gawron przyskakuje bliżej, wymierza potężny cios dziobem i stworzenie nieruchomieje.

Może to królik. Cal widuje je wczesnym rankiem, jak śmigają po rosie i skubią liście. Ich nory są gdzieś na łące za domem, przy dużym zagajniku leszczyn i jarzębin. Kiedy już dostanie pozwolenie na broń, sprawdzi, czy zapamiętał coś z lekcji dziadka o oprawianiu zwierzyny i czy uparte jak osioł łącze internetowe łaskawie pozwoli mu znaleźć przepis na potrawkę z królika. Gawrony tłoczą się wokół zdobyczy, dziobią z całej siły i wpierają nogi w ziemię, wyszarpując kawałki mięsa, a z drzewa sfruwają następne, żeby przyłączyć się do walki.

Cal przygląda im się przez jakiś czas, wyciągając przed siebie nogi i kręcąc młynką ręką, by rozluźnić ramię. Remont domu uruchamia w nim mięśnie, o których istnieniu zapomniął. Co dzień rano boli go coś innego, choć prawdopodobnie jednym z powodów jest spanie na materacu na podłodze. Jest na to za stary i za duży, ale nie ma sensu wnosić porządných mebli do tego kurzu, wilgoci i grzyba. Sprawi je sobie, gdy doprowadzi dom do porządku i dowie się, gdzie je kupić – tym zawsze zajmowała się Donna. Tymczasem ból mu nie przeszkadza. Sprawia mu nawet satysfakcję. Oprócz pęcherzy i coraz grubszych odcisków, jest namacalnym i zasłużonym dowodem zmian, jakie nastąpiły w jego życiu.

Nadchodzi długi i chłodny wrześniowy wieczór, ale chmury skutecznie zasłaniają zachód słońca. Niebo, zasnut subtelnymi tonacjami szarości, rozpościera się w nieskończoność, podobnie

jak pola i łąki w różnych odcieniach zieleni, wskazujących na ich przeznaczenie, podzielone długimi żywopłotami, kamiennymi murkami i gdzieniegdzie wąską drogą. Północny horyzont zamyka łańcuch niewysokich gór. Oczy Cala wciąż przyzwyczajają się do takich odległości, po latach spędzonych na oglądaniu miejskiej zabudowy. Krajobraz to jedna z niewielu cech rzeczywistości, które nie mogą człowieka rozczarować. Zachodnia Irlandia w internecie wyglądała pięknie; widziana na żywo wypada jeszcze ładniej. Powietrze jest wonne i soczyste jak kosz owoców; ma się wrażenie, że zamiast po prostu je wdychać, można zrobić coś więcej, na przykład ugryźć wielki kęs albo całymi garściami wcierać je w twarz.

Po pewnym czasie gawrony powoli się uspokajają, kończąc posiłek. Cal wstaje i podnosi worek ze zdartymi tapetami. Ptaki natychmiast przekrzywiają łebki, popatrując na niego bystrzymi oczami, a gdy rusza przez ogród, podrywają się, żeby dźwignąć pełne brzuchy z powrotem na dąb. Cal taszczy worek do rogu ogrodu, obok przykrytej pnączami kamiennej szopy, i przystaje po drodze, by rzucić okiem na gawronią kolację. Zgadza się, młody królik, chociaż trudno byłoby go teraz rozpoznać.

Stawia worek obok innych i wraca do domu. Już sięga do klamki, gdy ptaki podnoszą raban, trzepoczą liśćmi i miotają wrzaskliwe przekleństwa. Cal nie odwraca się ani nie zwalnia kroku. Zamykając za sobą drzwi do kuchni, bardzo cicho rzuca przez zęby:

– Skurrrrwsyn.

Od półtora tygodnia ktoś go śledzi. Prawdopodobnie dłużej, ale Cal zajmował się swoimi sprawami i zakładał, jak przypuszczałby każdy na takim pustkowiu, że jest tu sam. Uznał, że może wyłączyć swoje wewnętrzne systemy alarmowe. Pewnego wieczoru przygotowywał sobie kolację – smażył hamburgera na

jedynym działającym nadrdzewiałym palniku kuchenki, podczas gdy w głośniku iPod'a huczał Steve Earle, a on od czasu do czasu akompaniował mu na niewidzialnej perkusji – i nagle poczuł na karku dotyk gorąca.

Jego kark wyszkolił się w ciągu dwudziestopięcioletniej służby w policji Chicago. Cał traktuje go poważnie. Przemierzył kuchnię spokojnym krokiem, kiwając głową w takt muzyki i rozglądając się po blatach, jak gdyby czegoś szukał, a potem nagle przypadł do okna: nie było za nim nikogo. Zgasił palnik i szybko ruszył do drzwi, ale ogród był pusty. Okrążył go pod milionem błyszczących gwiazd i tarczą księżyca w pełni, która bielila łąki i pola. Nie słyszał nic prócz pohukiwania sów.

Wy tłumaczył sobie, że usłyszał podświadomie głos jakiegoś zwierzęcia zagłuszony przez muzykę. Tutejsze ciemności tętniły życiem. Kilka razy dobrze po północy siadywał na schodku za domem, żeby wypić parę piw i oswoić się z nocą. Widział krzątające się po ogrodzie jeże, lisa o lśniącej sierści, który przystanął, żeby posłać mu wyzywające spojrzenie. Raz pojawił się borsuk, większy i bardziej muskularny, niż Cał się spodziewał, i przemaszerował wzdłuż żywopłotu, a potem dał w niego nura; chwilę później w zaroślach rozległ się przenikliwy pisk i szelest liści pod łapami umykającego borsuka. W nocy każde z tych stworzeń zajmowało się swoimi sprawami.

Tamtej nocy, zanim położył się spać, na parapecie sypialni postawił dwa kubki i dwa talerze, a pod drzwi przysunął stary sekretarzyk. Po chwili powiedział sobie, że jest idiotą, i odstawił wszystko na miejsce.

Parę dni później, kiedy rano zrywał tapety i otworzył okno, żeby kurz i pył miały którądy uchodzić, gawrony wystrzeliły z drzewa, krzycząc na coś w dole. Za żywopłotem zaszurały oddalające się kroki, ale ciężkie i głośnie, na pewno nie jeża, lisa

ani nawet borsuka. Pobiegł tam natychmiast, znowu się jednak spóźnił.

Pewnie to tylko znudzone dzieciaki, które podglądały przybysza. Nie miały nic lepszego do roboty w zabitej dechami wiosce, z której do najbliższego miasteczka, zapadłej dziury na końcu świata, jest dwadzieścia pięć kilometrów. Głupio mu, że w ogóle brał pod uwagę inne możliwości. Mart, jego najbliższy sąsiad, zamyka dom tylko na noc. Gdy Cal ze zdziwieniem uniósł brew na tę wiadomość, szczupła twarz Marta zadrgała i śmiał się, dopóki nie zabrakło mu tchu.

– Tylko popatrz, w jakim to jest stanie – powiedział, wskazując w stronę domu Cala. – Co mogliby ci buchnąć? I kto miałby to zrobić? Może ja zakradnę się kiedyś rano i przekopię ci pranie, żeby znaleźć jakiś elegancki ciuch?

Cal też się roześmiał i odparł, że to by mu się akurat przydało, a Mart poinformował go, że jego własna garderoba w zupełności mu wystarczy, bo nie zamierza uderzać w konkury, po czym zaczął szczegółowo tłumaczyć, dlaczego nie ma takich planów.

Coś jednak jest na rzeczy. Nic wielkiego, drobiazgi, które machinalnie rejestruje jego zmysł gliniarza. Ryk silników na bocznych drogach w oddali, które dudnią basem o trzeciej nad ranem. Grupka chłopaków w rogu w głębi pubu, za młodych i niestosownie ubranych, rozmawiających za głośno i za szybko, z jakimś dziwnym akcentem; głowy odwracające się jednocześnie w stronę drzwi, kiedy wchodzi Cal; o sekundę za długie spojrzenia. Starał się nikomu nie mówić, czym się kiedyś zajmował, ale pewnie wystarcza im to, że jest tu obcy.

Głupi jesteś, powtarza sobie, włączając palnik pod patelnię i patrząc przez okno na ciemniejącą zieleń łąk, psa Marta biegnącego truchtem obok owiec, które spokojnie człapią w kierunku zagrody. Wystarczy parę lat patrolowania szemranych dzielnic, żeby w

robotnikach rolnych zobaczyć gangsterów.

Znudzone dzieciaki, na dziewięćdziesiąt procent. Mimo to Cal ścisza muzykę, żeby nie uronić żadnego podejrzanego dźwięku; myśli o zainstalowaniu alarmu i to go wkurza. Przez lata Donna rzucała się na pokrętko głośności. *Cal, to dziecko obok próbuje zasnąć! Cal, pani Scapanski dopiero co miała operację, myślisz, że szybciej wydobrzeje, jak popękają jej bębenki? Cal, co sąsiedzi o nas pomyślą? Że jesteśmy dzikusami?* Chciał mieszkać na wsi między innymi po to, by słuchać Steve’a Earle’a tak głośno, żeby wiewiórki pospadały z drzew, chciał trafić na zadupie między innymi dlatego, by więcej nie instalować alarmów. Wydaje mu się, że nawet poprawiając sobie jaja w spodniach, do czego powinien mieć prawo każdy facet we własnej kuchni, musi oglądać się przez ramię. Może to dzieciaki, może nie, w każdym razie musi wyjaśnić tę zagadkę.

U siebie rozwiązałby to za pomocą paru dobrych i dyskretnych kamer zapisujących obraz bezpośrednio w chmurze. Tu, nawet gdyby jego wi-fi sobie z tym poradziło, chociaż w to wątpił, nie bardzo pasuje mu myśl, że musiałyby pokazać nagranie na najbliższym posterunku. Nie wie, czym mogłoby się to skończyć: może wywołałby kłótnię sąsiedzką albo okazałoby się, że obserwator jest kuzynem policjanta, albo kto wie co jeszcze.

Zastanawiał się nad pułapką z linek rozciągniętych nad ziemią. Chociaż to najprawdopodobniej nielegalne, Cal jest raczej pewien, że nie byłoby z tym większego problemu; Mart już dwa razy proponował mu sprzedaż niezarejestrowanej strzelby, która ponieważ mu się w domu, a z pubu wszyscy wracają do domów samochodami. Sęk w tym, że Cal nie ma pojęcia, jakie skutki mogłyby wywołać jego działania.

A może nawet już wywołały. Słuchając Marta, Cal nabrał podejrzeń, że tutejsze sprawy są strasznie poplątane i trzeba bardzo

uważać na każdy krok. Noreen, właścicielka sklepu w jednym z budynków, których dwa krótkie szeregi tworzą wioskę Ardnakelty, nie zamawia ulubionych ciastek Marta z powodu skomplikowanej historii z lat osiemdziesiątych, w którą byli zamieszani jej wujowie i ojciec Marta, a chodziło o prawo do wypasu. Mart nie odzywa się do farmera o niemożliwym do wymówienia nazwisku, który mieszka po drugiej stronie gór, ponieważ facet kupił szczeniaka splodzonego przez psa Marta, choć z jakiegoś powodu nie powinien tego robić. Jest wiele podobnych opowieści, lecz Cal nie wszystkie rozumie, bo Mart snuje je bardzo pokrętnie, a on nie do końca łapie miejscowy akcent. Podoba mu się ta wymowa – soczysta jak tutejsze powietrze, wyrazista i jędrna, kojarzy mu się z zimnym nurtem rzeki albo górskim wiatrem – ale niewiele pojmuje ze sporych fragmentów rozmowy, a gdy skupia się na rytmie, jeszcze bardziej traci wątek. Udało mu się jednak wywnioskować tyle, że jeżeli usiądzie na czymś stołku w pubie albo na spacerze przejdzie na przełaj przez czyjś kawałek ziemi, to może mieć znaczenie.

Kiedy tu przyjechał, był przygotowany na to, że zderzy się ze zwartym szeregiem nastawionym wrogo przeciwko obcemu. Nie przejmował się tym, o ile nikt nie podpali mu domu; nie szukał kumpli do golfa, nie zależało mu na zaproszeniach na przyjęcia. Nic z tych rzeczy. Ludzie okazali się życzliwi. Tego samego dnia, gdy przyjechał i zaczął wynosić i wnosić rzeczy do domu, Mart przywędrował do niego, by oprzeć się o furtkę i trochę pociągnąć go za język. Skończyło się na tym, że przyniósł mu starą minilodówkę i polecił dobry sklep z materiałami budowlanymi. Noreen wyjaśniła mu, kto jest czym krewnym i jak zostać współwłaścicielem wiejskiej sieci wodociągowej, a później, gdy kilka razy ją rozbawił, zaczęła mu niby półżartem proponować, że wyswata go ze swoją owdowiałą siostrą. Staruszkowie,

którzy chyba mieszkali w pubie na stałe, przestali zdawkowo kiwać głowami w odpowiedzi na uwagi o pogodzie i z zapałem tłumaczyli mu zasady gry o nazwie hurling, która zdaniem Cala wygląda jak hokej z typową dla niego szybkością, zwinnością i brutalnością, tyle że rozgrywa się nie na lodzie i bez większości ochraniaczy. Do zeszłego tygodnia miał wrażenie, że został tu przyjęty może nie z otwartymi ramionami, ale przynajmniej z pewnym zainteresowaniem, jak ciekawe zjawisko naturalne, na przykład foka, która zamieszkała w rzece. Oczywiście zawsze będą w nim widzieć outsidersa, ale wydawało mu się, że nie mają z nim większego problemu. Teraz nie jest już taki pewien.

Tak więc cztery dni temu pojechał do miasta i kupił duży worek ziemi ogrodowej. Zdaje sobie sprawę z paradoksu sytuacji, skoro właśnie wydał większość swoich oszczędności na cztery hektary ziemi, ale jego gleba jest twarda i brylasta, naszpikowana małymi, ostrymi kamieniami i korzeniami traw. Do swojego planu potrzebował drobnego, wilgotnego i równego podłoża. Następnego dnia wstał przed świtem i rozsypał warstwę ziemi przed ścianami domu, pod każdym oknem. Żeby dostać się do odpowiedniej powierzchni, musiał wyrwać chwasty i pnącza i wygrabić kamyki. Chłodne powietrze przenikało do samego dna płuc. Pola i łąki wokół niego powoli jaśniały; gawrony obudziły się i zaczęły swoje kłótnie. Kiedy niebo się rozwidniło i w oddali rozległ się rozkazujący gwizd Marta przywołującego psa, Cal zmiął worek po ziemi i wcisnął na dno śmietnika, po czym wszedł do domu, żeby przygotować śniadanie.

Nazajutrz rano – nic; następnego dnia – też nic. Najwidoczniej ostatnim razem był bliżej celu, niż sądził, i musiał nastraszyć podglądaczy. Zajął się swoimi sprawami i przestał zerkać w okna i na żywopłoty.

Tego ranka zobaczył odciski butów w ziemi pod oknem

salonu. Sądząc po fragmentach wzoru protektora, były to trampki, ale ślady nachodziły na siebie i były zbyt niewyraźne, żeby ocenić ich wielkość i liczbę intruzów.

Patelnia jest gorąca. Cal wrzuca na nią cztery plastry bekonu, bardziej mięsistego i smaczniejszego, niż jadał wcześniej, a gdy tłuszcz zaczyna skwierczeć, wbija dwa jajka. Podchodzi do iPoda leżącego na tym samym stole, przy którym jada posiłki – całe obecne umeblowanie składa się ze stołu pozostawionego przez poprzednich właścicieli, drewnianego sekretarzyka ze zniszczonym bokiem, dwóch wątych krzeseł z laminatu, które też były w domu, oraz opasłego zielonego fotela, który kuzyn Marta chciał wyrzucić – i włącza, niezbyt głośno, Johnny’ego Casha.

Jeżeli czymś kogoś wkurzył, to głównym powodem musi być kupno tego domu. Znalazł go w internecie i wybrał, dlatego że w cenie był kawałek ziemi, w pobliżu znajdowało się niezłe miejsce do wędkowania, dach wyglądał porządnie, poza tym korciło go, by przejrzeć papiery wystające ze starego sekretarzyka. Cal już dawno nie miał na nic takiej ochoty, co uznał za dodatkowy argument, że musi mieć ten dom. Agenci z biura nieruchomości zażądali trzydziestu pięciu tysięcy. Kiedy zaproponował trzydzieści gotówką, o mało nie wyrwali mu ręki.

Nie przyszło mu wówczas do głowy, że ktoś inny mógłby sobie ostrzyć zęby na dom. Niski, szary, zupełnie przeciętny, zbudowany w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Pięćdziesiąt parę metrów kwadratowych, kryty łupkiem, z przesuwными oknami; odrobinę wdzięku dodają mu tylko duże kamienie węgielne i szeroki kamienny kominek. Fotografie w internecie wskazywały, że stoi pusty od lat, może nawet dekad: farba schodziła z niego płatami i pasami, w pokojach leżały przewrócone ciemnobrązowe meble i gnijące zasłony w kwiaty, przed drzwiami rosły młode drzewka, przez wybite okno wpęły wąsy pnączy. Teraz już jednak wie,

że komuś innemu może zależeć na tym domu, nawet jeśli powody nie wydają się całkiem jasne, i że osoba, która rości sobie do niego prawo, prawdopodobnie podchodzi do tego poważnie.

Cal nakłada jajka i bekon na dwie grube kromki chleba, polewa keczupem, wyjmując z minilodówki piwo i stawia posiłek na stole. Donna ochrzaniłaby go za takie jedzenie, za brak odpowiedniej ilości błonnika i surowych warzyw, ale faktem jest, że choć korzysta tylko z patelni i mikrofalówki, udało mu się zrzucić parę kilogramów, może nawet więcej niż parę. Czuje to, nie tylko w pasie, ale też przy każdym ruchu: wszystko robi z zaskakującą lekkością. Na początku się zaniepokoił; wydawało mu się, jakby przestała działać na niego grawitacja, ale coraz bardziej mu się to podoba.

Zawdzięcza to sporej porcji ruchu. Prawie co dzień spaceruje przez godzinę czy dwie bez konkretnego celu, po prostu idzie przed siebie, żeby zorientować się w nowym terenie. Często moknie, ale w ogóle mu to nie przeszkadza: ma długą impregnowaną kurtkę, a deszcz zupełnie nie przypomina opadów, jakie zna, przybiera postać drobnej mgiełki, która wydaje się nieruchomo wisieć w powietrzu. Cal zazwyczaj nie nakłada kaptura, by czuć na twarzy tę wilgoć. Prócz tego, że sięga wzrokiem dalej niż kiedyś, jego słuch łowi dźwięki z oddali; od czasu do czasu dochodzi do niego słabe i stłumione beczenie owiec, ryk krów albo krzyki farmera z odległości chyba paru kilometrów. Czasami widzi kogoś pracującego po drugiej stronie pól, czasem ktoś jedzie perkoczającym traktorem wąską dróżką i kiedy go mijają, unosząc rękę w pozdrowieniu, Cal musi zejść na bok, wbijając się w gęsty żywopłot. Po drodze widuje mocno zbudowane kobiety, taszczące ciężkie rzeczy po zagraconych podwórzach, i małe dzieci o czerwonych policzkach, które przypatrują mu się zza furtek, z buziami przyklejonymi do sztachet, a długonogie psy wściekle na

niego ujadają. Czasem wysoko nad głową śmignie z krzykiem ptak albo z zarośli wystrzeli bażant prosto pod jego nogi. Cal wraca do domu z przekonaniem, że rzucając wszystko i przyjeżdżając tu, podjął właściwą decyzję.

Miedzy spacerami, nie mając do roboty nic ciekawszego, w zasadzie cały czas remontuje dom, od rana do nocy. Zaraz po przyjeździe wymiół gruby kokon pajęczyn, kurzu, martwych owadów i innego paskudztwa, które przez lata cierpliwie starało się wypełnić każdy centymetr kwadratowy domu. Następnie wstawił nowe szyby w oknach oraz wymienił sedes i wannę – jedno i drugie zostało poważnie uszkodzone przez kogoś, kto musiał mieć młot kamieniarski i głęboką awersję do armatury łazienkowej – bo nie chciał już dłużej srać do dziury w podłodze i myć się w wiadrze. Cal nie jest hydraulikiem, ale zawsze miał smykałkę do majsterkowania, poza tym ma poradniki wideo na YouTube, kiedy internet akurat działa, i wyszło całkiem nieźle.

Później poświęcił trochę czasu na przejrzenie rzeczy po poprzednich właścicielach. Nie spieszył się, oglądając z uwagą każdy przedmiot. Ostatni lokatorzy bardzo poważnie podchodzili do religii: mieli obrazy świętej Bernadety, Matki Boskiej z rozczarowaniem malującym się na obliczu oraz niejakiego ojca Pio. Wszystkie były oprawione w tanie cienkie ramki i żółkły w kątach, gdzie odstawili je mniej pobożni spadkobiercy. Dawni właściciele lubili skondensowane mleko, którego pięć puszek stało w kuchennej szafce i wszystkie były przeterminowane o piętnaście lat. Mieli porcelanowe filiżanki w różowe wzorki, przedziewiałe rondle, zwinięte w rulony ceratowe obrusy, figurkę dziecka w czerwonej pelerynie i koronie, z odłamaną i przyklejoną z powrotem głową, i pudełko z parą staromodnych męskich półbutów, mocno sfatygowanych i wyglansowanych na błysk, który wciąż było widać. Cal trochę się zdziwił, że nie

ma tu żadnych śladów obecności nastolatków – puszek po piwie, niedopałków papierosów, zużytych prezerwatyw czy graffiti. Doszedł do wniosku, że ten dom jest dla nich za daleko. Wtedy uznał to za dobrą wiadomość. Teraz nie jest już taki pewny. Wolałby mieć na liście możliwość, że to nastolatki przychodzą sprawdzić, co się dzieje w ich dawnej melinie.

Papiery w sekretarzyku okazały się mało istotne: wyrwane z gazet i magazynów artykuły, starannie złożone w równe prostokąty. Cał szukał jakiegoś wspólnego wątku, który łączyłby teksty, ale bez powodzenia: znalazł artykuły o historii skautingu, uprawie groszku pachnącego, irlandzkich siłach pokojowych w Libanie, zapis melodii na fletach i przepis na jakiś *Welsh rarebit*. Zachował te papiery, ponieważ w pewnym sensie to one go tu sprowadziły. Większość pozostałych rzeczy wyrzucił, łącznie z zasłonami, co teraz wydało mu się złym pomysłem. Zastanawiał się, czy nie wygrzebać ich z góry worków na śmieci, która rosła za szopą, ale pewnie jakieś zwierzę zdążyło je pogryźć albo na nie nasikać.

Wymienił rynny i rury spustowe, wlaźł na dach, żeby wyeksmitować z komina krzepkie i gęste chwasty z żółtymi kwiatami, przeszlifował i polakierował podłogę z dębowych desek, a teraz pracował nad ścianami. Ostatni mieszkaniec miał dziwnie niekonwencjonalny gust, jeśli chodzi o wystrój wnętrza – albo po wyjątkowo okazyjnej cenie kupił parę puszek farby. Sypialnia Cała miała kiedyś intensywną barwę indygo, dopóki wilgoć nie poznała ścian pasmami grzyba i białymi plackami gołego tynku. Mniejsza sypialnia była w jasnym miętowym kolorze. Część salonową pokoju od frontu pomalowano rdzawą, czerwono-brązową farbą, która przykryła odkształconą tapetę. Nie wiadomo do końca, o co chodziło z aneksem kuchennym, który wygląda, jakby ktoś miał zamiar wyłożyć go kafelkami, ale

porzucił ten plan, żeby zająć się czymś innym, a w łazience nikt nawet nie podjął takich prób; to dobudowana klitka w głębi domu, z gipsowymi ścianami i podłogą z surowych desek, częściowo przykrytych resztką zielonego dywanika, jak gdyby była dziełem kosmitów, którzy słyszeli o czymś takim jak łazienka, ale nie bardzo znali się na szczegółach. Kiedy Cal, przy swoich stu dziewięćdziesięciu trzech centymetrach wzrostu, wcisnął się do wanny, miał kolana prawie pod brodą. Zamierza wyłożyć łazienkę płytkami, a potem zainstalować prysznic, ale to może poczekać. Najpierw chce skończyć malowanie, dopóki pogoda pozwala mu otwierać okna. Było już parę takich dni, gdy niebo zasnuła gęsta szarość, z ziemi tchnęło chłodem, a wiatr pędzący przez setki kilometrów pól z łatwością przenikał jego dom – jak gdyby mury nie były dla niego żadną przeszkodą – niosąc Calowi ostrzeżenie i przedsmak zimy. Nieprzypominającej zasp i mrozów w Chicago – wie o tym z internetu – ale zimy pełną gębą, surowej, nieustępliwej i przebiegłej.

W trakcie jedzenia Cal przygląda się efektom całego dnia pracy. Przez lata tapeta w niektórych miejscach przyrosła do ściany, więc idzie mu wolno, ponad połowę udało mu się już jednak zedrzeć do gołego tynku; ścianę wokół kamiennego łuku kominka wciąż pokrywa odrapana warstwa czerwono-brązowej farby. Cal z zaskoczeniem łapie się na tym, że pokój w tym stanie nawet mu się podoba. Ma jakieś ukryte znaczenie. Gdyby był artystą, byłby skłonny zostawić go tak na jakiś czas, a po drodze może machnąćby parę obrazów.

Wciąż się nad tym zastanawia, kiedy w połowie posiłku kark znowu oblewa mu fala gorąca. Tym razem słyszy nawet odgłos, który wywołał to uczucie: szelest nieporadnej szamotaniny, który błyskawicznie cichnie, jakby ktoś potknął się i prawie wpadł w zarośla za oknem, ale uchronił się przed tym w ostatniej chwili.

Cal bez pośpiechu odgryza spory kęs kanapki, popija długim łykiem piwa i ociera pianę z wąsa. Potem krzywi się i z czknięciem nachyla, żeby postawić talerz na stole. Podnosi się z krzesła, wygina szyję, żeby chrupnęły w niej kręgi, i rusza do toalety, rozpinając po drodze pasek.

Okno w łazience uchyla się lekko i bezgłośnie, jak gdyby zawiasy zostały nasmarowane – bo rzeczywiście spryskał je WD-40. Dobrze przećwiczył ten manewr, więc wspina się na spluczkę i przeciska przez okno znacznie zręczniejszy, niż można się spodziewać po kimś jego postury, co nie zmienia faktu, że rzucił służbę w patrolu między innymi dlatego, że miał serdecznie dość wspinania się, na co tylko się da, podczas pościgu za oprychami pakującymi się w różne idiotyzmy i nie zamierzał do tego wracać. Łąduje na ziemi, czując, jak puls przyspiesza mu w znajomym łowieckim rytmie. Tyłek ma otarty o framugę okna i jest coraz bardziej rozdrażniony.

Jego jedyną bronią jest krótka rura, która została po remoncie łazienki i leży schowana w krzakach. Nawet gdy ma ją w rękach, wydaje mu się, jakby nic nie miał; brakuje mu ciężaru pistoletu. Przez chwilę stoi bez ruchu, przyzwyczajając oczy do półmroku i nasłuchując, ale wieczór szemrze mnóstwem dźwięków i Calowi trudno wyłowić z nich ten istotniejszy od innych. Zrobiło się już ciemno; na niebie lśni ścigane przez strzępy chmur ostrze księżycy, rzucające słabe, niepewne światło i za dużo cieni. Cal ściska rurkę w dłoniach i dawnym wyćwiczonym krokiem, który idealnie łączy szybkość z ciszą, rusza w stronę rogu domu.

Pod oknem salonu czai się plama gęstszej ciemności, nieruchoma, z głową wysuniętą na tyle wysoko, by zajrzeć do środka nad parapetem. Cal rozgląda się uważnie, ale w trawie dookoła niczego nie zauważa: wygląda na to, że intruz jest sam. W świetle padającym przez okno dostrzega krótko ostrzyżonego

języka i rudy błysk.

Ciska rurkę i przypuszcza atak. Zamierza zwalić gościa z nóg, rozłożyć go na łopatki i potem zastanowić się, co dalej, ale trafia stopą na kamień. W ciągu sekundy, gdy wymachuje rękami, by nie stracić równowagi, facet podrywa się i ucieka. Cal rzuca się w półmrok, łapie go za ramię i ciągnie z całej siły.

Intruz stawia za mały opór, a jego ramię jest tak chude, że można zamknąć na nim dłoń. To dzieciak. Kiedy Cal zdaje sobie z tego sprawę, rozluźnia uścisk. Chłopak wiję się jak żbik w potrzasku, syczy i zatapia zęby w jego dłoni.

Cal wydaje z siebie ryk. Chłopak wyrwa się i pędzi przez ogród jak rakieta, biegnąc po trawie niemal bezszelestnie. Cal rusza za nim, ale po kilku sekundach dzieciak znika w nierównej przedzie cienia ciągnącego się wzdłuż przydrożnego żywopłotu i gdy Cal tam dobiega, nie ma już po nim śladu. Przedziera się przez żywopłot i rozgląda po drodze, która w cieniu okalających ją krzewów wygląda jak wąska wstążeczka. Pusto. Rzuca paroma kamyczkami w krzaki w różnych kierunkach, próbując wypłoszyć dzieciaka: nic z tego.

Wątpi, by chłopak miał jakieś posiłki – krzyknąłby do nich, wołając o pomoc albo żeby ich ostrzec – mimo to Cal na wszelki wypadek okrąża ogród. Gawrony smacznie śpią. Na ziemi rozsypanej pod oknem salonu są nowe ślady, z tym samym wzorem protektora podeszwy co ostatnio; nie ma ich nigdzie indziej. Cal wycofuje się w głęboki cień pod szopą i bardzo długo czeka, starając się opanować zdyszany oddech, ale z żywopłotów nie dochodzą szelesty, a przez pola i łąki nie przemyka chyłkiem żaden cień. Tylko jeden, i to dzieciak. Pewnie nie wróci, w każdym razie nie dzisiaj.

W domu ogląda rękę. Chłopak porządnie go dziabnął: trzy zęby rozciąły skórę, z jednej ranki sączy się krew. Cal kiedyś na

służbie został ugryziony, a potem wpadł w kołowrót papierów, przesłuchań, badań krwi, sporów prawnych, tabletek i wezwań sądowych; trwało to parę dobrych miesięcy, dopóki nie przestał się orientować, co jest grane, i na żądanie wyciągał rękę albo składał podpis. Znajduje apteczkę, przemywa dłoń środkiem dezynfekującym, a potem przykleja plaster.

Jedzenie mu wystygło. Podgrzewa je w mikrofalówce i zanosí z powrotem na stół. Ciągłe gra Johnny Cash, opłakując rozłąkę z Rose i synem drżącym, załamującym się barytonem, jakby już był duchem.

Cal nie czuje się tak, jak się spodziewał. Przecież liczył na to, że intruzami okażą się dzieciaki szpiegujące nowego mieszkańca domu – to był najlepszy z możliwych scenariuszy. Przypuszczał, że trochę im pogrozi, gdy będą uciekać z krzykiem i śmiechem, rzucając mu przez ramię wyzwiska, a potem pokręci głową, wróci do domu, utyskując na dzisiejszą młodzież jak zgryźliwy tetryk, i na tym skończy się cała historia. Może przychodziłyby jeszcze od czasu do czasu, żeby powtórzyć zabawę, ale to by mu w zasadzie nie przeszkadzało. Tymczasem, uśpiwszy zgodnie z planem swoją policyjną czujność, wróciłby do remontu, słuchał głośno muzyki i poprawiał sobie jaja w spodniach, ilekroć miałby na to ochotę.

Tylko że nie wydaje się, aby to miał być koniec, a jego policyjna czujność nie zamierza usypiać. Dzieciaki, które chcą dla hecy rozdrażnić nieznajomego, powinny się tu pojawić całą gromadą, hałasować, upojone własnym chojractwem jak kofeiną. Cal myśli o nieruchomej sylwetce skulonego pod oknem chłopaka, o jego milczeniu, kiedy złapał go za ramię, o zjadłości jego ataku, gdy z szybkością węża wbił mu zęby w dłoń. Dzieciak nie śledził go dla zabawy. Pojawił się tu w określonym celu. I wróci.

Cal kończy posiłek i zmywa naczynia. Nad oknem w łazience przybija płachtę malarską i bierze krótką kąpiel. Potem kładzie się

w ciemności na materacu i z rękami pod głową patrzy przez okno
na przysłonięte chmurami gwiazdy, słuchając wrzasków lisów,
które daleko za polami załatwiają swoje porachunki.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).